

ROZDZIAŁ TRZECI

BOGACTWO WEWNĘTRZNE ZDOBYWA SIĘ POPRZEZ WALKĘ I CIERPIENIE

„Jesteś moim duchowym nauczycielem”

Po przejściu rzeki Imjin wędrowaliśmy przez Seul, Wonju i Kyungju do Busan. Dotarliśmy tam ostatecznie 27 stycznia 1951 roku. Busan pełne było uchodźców z Północy. Sprawiało to wrażenie, jakby zgromadził się tam cały kraj. Każde miejsce nadające się do zamieszkania było pełne ludzi. W naszym maleńkim pomieszczeniu można było najwyżej usiąść. Pozostawało nam tylko jedno wyjście — nocą chodzić do lasu, otulając się jak najcieplej, a na dzień wracać do miasta w poszukiwaniu jedzenia.

Włosy, które w więzieniu zawsze nosiłem krótko obcięte, teraz znów urosły. Spodnie, załatane od środka kawałkami bawełny z koca, przecierały się. Ubranie miałem tak przesycone tłustym brudem, że nawet podczas ulewnego deszczu krople wody nie wsiąkały w nie, a po prostu toczyły się po nim na ziemię.

Chociaż górna część trzewików trzymała się jeszcze niemal w całości, z ich podeszew nie zostało prawie nic. Równie dobrze mogłem chodzić boso. Po prostu byłem najbiedniejszym z biednych, żebrakiem wśród żebraków. Nie było żadnej pracy, w kieszeniach nie mieliśmy ani grosza. Jedynym sposobem zdobycia pożywienia była żebranina.

Ale nawet kiedy żebrałem o jedzenie, starałem się zachowywać godnie. Jeżeli ktoś mi odmawiał pomocy, mówiłem wyraźnym i pewnym siebie głosem: „Posłuchaj mnie, jeżeli nie pomożesz takim ludziom jak my, którzy potrzebują twojej pomocy, będziesz miał wielkie trudności z uzyskaniem w przyszłości Bożego błogosławieństwa!” Ludzie, zderzając się z takim rozumowaniem, na ogół pomagają. Zdobyte w ten sposób jedzenie zabieraliśmy tam, gdzie mogliśmy wszyscy razem usiąść. W takich miejscach jadało mnóstwo ludzi będących w podobnej sytuacji. Nie posiadaliśmy nic i musieliśmy żebrać, ale zawsze kwitła wśród nas serdeczna przyjaźń.

Pewnego razu, w środku takiego właśnie dnia usłyszałem czyjeś wołanie: „No popatrz! Jak długo się nie widzieliśmy?” Odwróciłem się. Przede mną stał Duk Mun Eom, przyjaciel z czasów mojej nauki w Japonii. Duk Mun Eom został moim przyjacielem na całe życie od chwili, kiedy wzruszył się śpiewaną przeze mnie patriotyczną pieśnią. Dzisiaj jest jednym z najbardziej cenionych architektów — projektował między innymi Centrum Kulturalne Sedzonga Wielkiego i Hotel Lotte w Seulu.

„Chodźmy” — powiedział i objął mnie serdecznie. Mnie — w takich łachmanach! — „Chodźmy do mnie do domu”.

W tym czasie Duk Mun Eom był już żonaty. Mieszkał z całą rodziną w jednym pokoju. Żeby zrobić dla mnie miejsce, przeciągnął przez pokój sznurek i powiesił na nim koc, oddzielając w ten sposób kawałek przestrzeni. W drugiej części pokoju spał z żoną i dwojgiem małych dzieci.

„A teraz” — powiedział — „opowiadaj, co się z tobą ostatnio działo. Zawsze się zastanawiałem, gdzie jesteś i co robisz. Jesteśmy przecież bliskimi przyjaciółmi” — dodał — „a ty zawsze będziesz dla mnie nawet więcej niż przyjacielem. Wiesz, że cię zawsze bardzo szanowałem?”

Do tej chwili nigdy nie otwierałem tak szczerze serca przed żadnym z przyjaciół. W Japonii posunąłem się nawet do tego, że ukrywałem fakt, iż często czytam Biblię. Jeśli ktoś wchodził do mojego pokoju, kiedy czytałem, szybko odkładałem Biblię. Dopiero w domu Duk Mun Eoma po raz pierwszy się zwierzyłem z historii mego życia. Mówiłem przez całą noc. Powiedziałem o moim spotkaniu z Bogiem, o przejściu przez 38. równoleżnik, o założeniu kościoła i o tym, jak przetrwałem pobyt w więzieniu w Heungnam. Cała opowieść zajęła mi aż trzy dni. Kiedy skończyłem, Duk Mun Eom wstał i ukląkł przede mną, składając mi ceremonialny pokłon.

„Co też ty robisz?” — zawołałem zaskoczony i wstrząśnięty. Chwyciłem go za rękę i próbowałem powstrzymać, ale na próżno. Nie mogłem.

„Od tej chwili” — powiedział Duk Mun Eom — „stałeś się moim wielkim duchowym nauczycielem. Ten pokłon to powitanie w tobie mojego nauczyciela, więc proszę, nie protestuj”.

Odtąd był zawsze ze mną, zarówno jako przyjaciel, jak i jako uczeń. Niedługo po tym znalazłem pracę w porcie w Busan na Czwartym Pirsie. Pracowałem tylko w nocy. Za zarobione pieniądze kupowałem owsiankę na dworcu Choryang. Sprzedawano ją w pojemniku owiniętym szmatką, żeby nie ostygła za szybko. Zawsze trzymałem pojemnik z owsianką ponad godzinę pod koszulą, zanim się zabrałem do jedzenia. Dzięki temu było mi cieplej, gdyż pracując podczas długich i zimnych nocy, bardzo marzłem.

Znalazłem zakwaterowanie w przytułku dla robotników, w okolicy zwanej Choryang. Miejsca było tak mało, że nie mogłem się położyć, nie przyciskając stop do ściany, nawet po przekątnej. Jednak właśnie tam pewnego dnia zaostriłem ołówek i zacząłem pisać zarys *Wolli Wonbon* (pierwotną wersję *Boskiej Zasady*). Żyłem wtedy w skrajnej nędzy, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Nawet kiedy się mieszka w baraku, duch zdecydowany na wszystko potrafi przezwyciężyć wszelkie ograniczenia. Trzeba tylko silnej woli.

Won Pil Kim skończył właśnie dwadzieścia lat. Pracował, gdzie się dało. Znalazł zatrudnienie w restauracji i przynosił do domu przypalony ryż, którego nie można było podać klientom. Jedliśmy go razem. Potem, dzięki swoim talentom rysowniczym, szybko znalazł pracę w amerykańskim wojsku jako malarz.

W końcu weszliśmy na wzgórze Beomnetgol w Boemil-Dong i tam zbudowaliśmy dom. Ponieważ teren ten przylegał do cmentarza, dookoła nie było nic oprócz skalistego wąwozu. Nie mieliśmy ziemi, którą moglibyśmy nazwać własną, zatem zniwelowaliśmy kawałek spadzistego zbocza i tam postawiliśmy chatę. Nie mieliśmy nawet łopaty! Pożyczaliśmy sobie szufelkę z czyjejs kuchni i oddaliśmy ją, zanim właściciel się zorientował. Razem z Won Pil Kimem rozbijaliśmy skały, kopaliśmy ziemię i nosiliśmy żwir. Mieszaliśmy błoto ze słomą, formując cegły, które potem zestawialiśmy, aby wznieść ściany. Jakieś puste pudła po żywności z bazy amerykańskiej, poskładane na płask, posłużyły nam do zrobienia dachu. Na ziemi jako podłogę położyliśmy kawał czarnego plastiku.

Nawet najprostsze chałupy były solidniej zbudowane. Nasza opierała się o skałę, więc ze środka ściany wystawał wielki głaz. Jedynymi meblami, jakie posiadaliśmy, było małe, proste biurczko ustawione za tą skałą i sztalugi Won Pil Kima. Kiedy padało, pod podłogą naszego pokoju bulgotało źródło. Jakie to romantyczne, słuchać dźwięku wody wypływającej pod miejscem, na którym

siedzisz! Rankiem, po nocy spędzonej w nieogrzewanej izbie z ciekącym dachem i stale bulgocącą pod podłogą wodą, wstawaliśmy z katarem. Ale i tak cieszyliśmy się naszym własnym malutkim miejscem do mieszkania, w którym mogliśmy się położyć i spokojnie pomyśleć. Otoczenie było żalosne, ale my — pełni nadziei. Żyliśmy przecież, podążając ścieżką Bożej woli!

Co rano, kiedy Won Pil Kim szedł do pracy w bazie amerykańskiej, towarzyszyłem mu aż do stop wzgórza. Kiedy wieczorem wracał do domu, wychodziłem go powitać. Pozostały czas spędzałem na pisaniu *Wolli Wonbon*. W naszej izbie zawsze było dużo naostrzonych ołówków. Nawet kiedy w garnku nie było ryżu, ołówki mieliśmy zawsze.

Won Pil Kim pomagał mi na rozmaite sposoby, tak materialnie, jak i duchowo. Dzięki niemu mogłem się skupić na pisaniu. Nawet zmęczony po całodziennej pracy nie odstępował mnie ani na krok, stale się zastanawiając, jak mi pomóc. W owym czasie tak mało spałem, że mogłem zasnąć dosłownie w każdym miejscu. Czasami zdarzało mi się nawet usnąć w toalecie. Wtedy Won Pil Kim zaczynał mnie szukać i sprawdzał, czy nic mi się nie stało.

Ale to jeszcze nie wszystko. Bardzo chciał mieć choćby odrobinę własnego wkładu w książkę, którą pisałem. Zaczął rysować portrety dla amerykańskich żołnierzy i w ten sposób zarabiał dla mnie na ołówki. W tamtym okresie każdy amerykański żołnierz przed powrotem do Ameryki chciał mieć portret swojej żony czy dziewczyny. Won Pil Kim przyklejał kawałki jedwabiu do drewnianych ramek, malował portrety i sprzedawał je po cztery dolary za sztukę.

Byłem mu wdzięczny za jego pracę i oddanie. Kiedy malował, siadałem obok i robiłem co mogłem, aby mu pomóc. Kiedy był w pracy w bazie amerykańskiej, przycinałem drewno na ramki, zbijałem je i przyklejałem do nich jedwab. Zanim wrócił do domu, myłem mu pędzle i kupowałem potrzebne farby. Po powrocie brał miękkie ołówki 4B i rysował portret. Początkowo rysował tylko jeden, najwyżej dwa, ale wkrótce fama o jego obrazach rozeszła się szeroko. Stał się tak dobrze znany wśród żołnierzy, że musiał rysować po dwadzieścia, ba, nawet trzydzieści portretów! Doszło do tego, że nasz domek był tak zapchany portretami, że trudno było znaleźć wolne miejsce do spania.

Ponieważ obciążenie pracą stale wzrastało, zacząłem robić coś więcej, niż tylko pomagać mu w dodatkowych czynnościach. Won Pil rysował zarysy twarzy, a ja kolorowałem usta i ubranie. Za wspólnie zarobione pieniądze kupowaliśmy ołówki i materiały do rysunków, a resztę wydawaliśmy na pracę misyjną. Zapisanie słów Bożych jest ważne, ale jeszcze ważniejsze jest mówić ludziom o Jego woli.

Szalony i przystojny mężczyzna przy studni

Kiedy już zbudowaliśmy w Beomnetgol nasz domek ze ścianami z błota i zaczęliśmy głosić słowo Boże, moich kazań przychodziły słuchać początkowo zaledwie trzy osoby. Ja jednak nie kierowałem swoich słów tylko do tej trojki. Myślałem: „Mimo że nie da się ich zobaczyć, mówię to kazanie do tysięcy, a nawet dziesiątków tysięcy”. Wyobrażałem sobie, że moich kazań słucha cała ludzkość. Tych troje siedziało naprzeciw mnie, a ja przekazywałem im słowa Zasady donośnym, wręcz grzmącym głosem.

Przed naszym domem była studnia. Wkrótce wśród ludzi, którzy przychodzili czerpać z niej wodę, rozeszła się pogłoska, że w domku ze ścianami z błota zamieszkał szaleniec. Brali wodę, po czym

zaglądali do naszego nędznego domku z błota, by obejrzeć mężczyznę w łachmanach, który mówił tak głośno, jakby wykrzykiwał rozkazy całemu światu. Zupełnie zrozumiałe, że zaczęły krążyć na ten temat pogłoski. Głosiłem, że niebo i ziemia całkowicie się zmienią i że Korea zjednoczy cały świat.

Wkrótce plotki na mój temat nie ograniczały się już jedynie do ludzi przychodzących do studni, ale dotarły do mieszkańców osiedla u podnóża naszej góry. Być może właśnie te plotki budziły ciekawość i ściągnęły ludzi chcących zobaczyć szalonego człowieka, który mieszka w pobliżu studni. Wśród ciekawskich byli studenci z pobliskiego seminarium, a także grupa profesorów z prestiżowego Ewha Womans University, prywatnego uniwersytetu dla kobiet. Co więcej, schlebiano memu wyglądowi, mówiąc, że jestem przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, zatem nasze wzgórze zaczęły odwiedzać panie w średnim wieku, ot tak, dla zabicia czasu.

W dniu, kiedy skończyłem pisać *Wolli Wonbon*, odłożyłem ołówek i modliłem się: „Teraz nadszedł dla mnie czas ewangelizacji. Proszę, przyślij do mnie świętych, którym będę mógł dać świadectwo”. Potem wyszedłem z domu w kierunku studni. Był 10 maja, późna wiosna. Miałem na sobie tradycyjne koreańskie spodnie z bawełnianą podszewką i starą kurtkę; pociłem się z gorąca. Kątem oka dostrzegłem młodą kobietę ocierającą pot z czoła. Wspiniała się pod górę w stronę studni.

Odezwałem się do niej: „Bóg obdarza cię ogromną miłością już od siedmiu lat.” Odskoczyła zdumiona. Właśnie minęło siedem lat od chwili, kiedy postanowiła poświęcić życie Bogu.

„Nazywam się Hyun Shil Kang” — powiedziała. — „Jestem kaznodzieją w kościele Beom Cheon, tu niedaleko, u podnóża góry. Słyszałam, że mieszka tutaj jakiś szaleniec, więc przyszedłam do niego, aby przynieść mu słowo Boże”.

W ten sposób mnie powitała. Zaprosiłem ją do naszego domku. Rozejrzała się po nędznej izbie, wyraźnie dając do zrozumienia, jak wydał jej się dziwny. W końcu jej wzrok spoczął na moim biurku.

„Po co panu tyle ołówków?” — spytała.

„Aż do dzisiejszego ranka” — odparłem — „pisałem książkę, która odkrywa zasady wszechświata. Myślę, że Bóg tu panią zesłał, żeby mogła pani je poznać dzięki mnie”.

„Co takiego?” — zapytała stanowczym głosem. — „Jestem tu, ponieważ słyszałam, że tu mieszka jakiś szaleniec, którego powinnam oświecić”.

Podąłem jej poduszkę, żeby usiadła. Sam także usiadłem. Źródłana woda bulgotała pod podłogą.

„W przyszłości Korea znajdzie się na szczycie świata” — mówiłem. — „Ludzie z innych narodów będą żałować, że nie urodzili się Koreańczykami”.

Wyraźnie uważała, że plotę bzdury.

„Tak samo jak Eliasz pojawił się pod postacią Jana Chrzciciela” — ciągnąłem — „tak Jezus we własnej osobie przyjdzie do Korei”.

To ją rozgniewało.

„Jestem pewna, że Jezus będzie wolał przyjść do innego, ciekawszego kraju, nie tak nędznego jak Korea” — rzuciła.

Po chwili rzekła:

„Czytał pan kiedykolwiek *Apokalipsę świętego Jana*? Ja czytałam...” Przerwałem jej w poł zdania słowami:

„Chce mi pani powiedzieć, że pani studiowała w Seminarium Teologicznym w Goryo?”

„Skąd pan wie?” — spytała ostro.

„Myśli pani, że czekałbym na panią, nie wiedząc o niej chociażby tego? Powiedziała pani, że przysłała tu dać świadectwo. Proszę więc, niech mnie pani uczy”.

Hyun Shil Kang była z pewnością doskonale obeznana z teologią. Przytaczała mi jeden po drugim teksty z Biblii, próbując zaatakować moje poglądy. Dłuższy czas rzucała mi potężne wyzwania, a ja na każde z nich odpowiadałem silnym, jasnym głosem. Nasza dyskusja ciągnęła się tak długo, że zaczął już zapadać zmrok, wstałem więc i przyszykowałem obiad. Jedyną rzeczą, jaką jedliśmy oprócz ryżu, było zbyt dojrzałe *kimchi*. (*kimchi* to sfermentowana kapusta, często przyrządzana z dodatkiem czerwonej ostrej papryki albo z innymi przyprawami, bardzo popularna w kuchni koreańskiej). Niemniej siedzieliśmy i słuchaliśmy bulgocącej pod nami wody, jedząc wspólny posiłek zanim zakończyliśmy dyskusję.

Na drugi dzień przysłała znowu i następnego dnia po nim także, i cały czas prowadziliśmy dyskusję. W końcu postanowiła poświęcić życie zasadzie, której nauczałem.

Później, w tym samym roku, w wietrzny dzień listopadowy w drzwiach naszej chaty w Beomnetgol pojawiła się moja żona. U jej boku stał siedmioletni chłopiec, mój syn urodzony w roku, w którym opuściłem nasz rodzinny dom. Wtedy wyszedłem po prostu, żeby zdobyć trochę ryżu, a zamiast tego udałem się do Pyongyangu. Lata mijały i w tej chwili moje dziecko było już dużym chłopcem. Nie mogłem się zdobyć na spojrzenie mu w oczy ani wyciągnięcie ręki, żeby go pogłaskać po twarzy i z radością przytulić do piersi. Stałem jak kamienny posąg, jak przykuty do podłogi, bez słowa.

Moja żona nie musiała nic mówić. Wiedziałem, ile bólu i cierpień musieli przeżyć oboje, ta biedna matka i jej dziecko, pozostawieni sami sobie, podczas gdy wokół szalała straszna wojna. Nawet przed ich wizytą wiedziałem, gdzie mieszkali i jaka była ich sytuacja, ale nie dotarłem jeszcze do takiego etapu, w którym mógłbym się zaopiekować swoją rodziną. Wiedziałem o tym i prosiłem ją kilkakrotnie, tak jak przed naszym ślubem: „Proszę, zaufaj mi i po prostu poczekaj jeszcze trochę”.

W odpowiedniej chwili planowałem udać się do nich i zabrać ich do siebie. Ale wtedy, gdy stanęli w moich drzwiach, ta chwila jeszcze nie nadeszła. Chata — nasz kościół — była mała i nędzna. Mieszkało i jadło w niej wielu członków naszego kościoła, którzy tu przyszli, by studiować Słowo Boże. Nie mogłem tam sprowadzić rodziny.

Żona rozejrzała się po chacie z wyrazem wielkiego rozczarowania, odwróciła się i wyszła. Razem z moim synem zeszli z powrotem stromą ścieżką.

Kościół bez wyznania

Jest takie koreańskie powiedzenie, że człowiek znieważony przez innych żyje bardzo długo. Gdybym miał żyć proporcjonalnie do ilości obelg, jakimi mnie obrzucano, mógłbym żyć co najmniej sto lat dłużej. Mój brzuch był pełen nie tyle jedzenia, ile obelg, tak że mógłbym powiedzieć, iż mój brzuch był po prostu nimi przepełniony. Członkowie innych kościołów, którzy mi się przeciwstawiali i rzucali za mną kamieniami, kiedy zaczynałem tworzyć swój kościół w Pyongyangu, wznowili napaści tym razem w Busan. Już przedtem, zanim zaczęliśmy organizować nasz kościół, starali się nam rzucać kłody pod nogi. Przy moim nazwisku umieszczano takie określenia jak „heretyk” czy „pseudo” tak często, że wkrótce niejako zrosły się z moim imieniem. Naprawdę, nazwisko Sun Myung Moon stało się synonimem herezji i pseudo-religii. Rzadko zdarza się usłyszeć moje imię bez tych dodatków.

W roku 1953 prześladowania doszły do zenitu. Zamknęliśmy chatę w Busan i przenieśliśmy się najpierw do Daegu, a następnie do Seulu. W maju następnego roku wynajęliśmy dom w dzielnicy Bukhak-Dong, w pobliżu parku Jangchoongdan. Na drzwiach wywiesiliśmy napis: „Ruch pod Wezwaniem Ducha Świętego dla Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego”.

Wybraliśmy tę nazwę, by zaznaczyć, że nie należymy do żadnego wyznania, i bynajmniej rzeczywiście nie mieliśmy zamiaru tworzenia żadnego nowego kościoła. Światowe Chrześcijaństwo odnosi się do chrześcijaństwa na całym świecie zarówno w przeszłości, jak i dzisiaj. Zjednoczenie wyraża nasz cel jedności, a Duch Święty oznacza podkreślenie harmonii pomiędzy światem duchowym i fizycznym, zbudowanej na miłości, z relacją ojciec – syn jako centrum. Nasza nazwa oznaczała: „Świat duchowy, ześrodkowany na Bogu, jest z nami”.

W szczególności zjednoczenie wyrażało moje pragnienie sprowadzenia idealnego świata Boga. Zjednoczenie to nie związek. Związek jest wówczas, kiedy dwie rzeczy schodzą się ze sobą. Zjednoczenie zaś, kiedy dwie rzeczy stają się jedną. „Kościół Zjednoczeniowy” został naszą ogólnie przyjętą nazwą później, ale nadali ją nam inni. Na samym początku studenci uniwersyteccy mówili o nas „Kościół z Seulu”.

Nie lubię, kiedy dla określenia kościoła używa się słowa *kyohoi* w potocznym rozumieniu. Ale podoba mi się ono zapisane oryginalnymi chińskimi znakami. *Kyo* znaczy „nauczać”, zaś *hoi* — „gromadzić się”. Zatem koreańskie określenie oznacza dosłownie „gromadzenie się dla nauczania”. Zaś słowo *jongkyo*, oznaczające religię, jest złożone z dwóch chińskich znaków: *jong* — „centralny”, a *kyo* — „nauczanie”.

Kiedy słowo *kościół* oznacza gromadzenie się tam, gdzie naucza się podstaw duchowości, to jest rozumiane we właściwy sposób. Jednakże znaczenie słowa *kyohoi* nie podaje żadnej przyczyny, dla której ludzie mieliby się czymś ze sobą dzielić. Zasadniczo nie używa się słowa *kyohoi* w tym znaczeniu.

Nie chciałem nas umieszczać w takiej separatystycznej kategorii. Marzyłem o wzniesieniu kościoła bez żadnego wyznania. Prawdziwa religia stara się ocalić naród, nawet gdyby w tym celu musiała poświęcić siebie samą; stara się ocalić świat, nawet za cenę poświęcenia swojego narodu; wreszcie stara się ocalić ludzkość, nawet gdy to oznacza poświęcenie świata. W takim rozumieniu nie może być ani chwili, dla której wyznanie miałoby pierwszeństwo.

Trzeba było wywiesić szyld z nazwą kościoła, ale w głębi duszy byłem gotów go zdjąć w każdej chwili. Skoro tylko powiesi się tabliczkę z nazwą, która oznacza „kościół”, powstaje rozróżnienie pomiędzy kościołem a nie-kościółem. Nie jest w porządku brać coś, co jest jednością i dzielić to na dwoje. Nie o tym marzyłem. Nie taką ścieżką chciałem podążać. Jeżeli będę musiał ten szyld zdjąć, aby ocalić naród czy świat, jestem gotów to zrobić natychmiast.

Nasz szyld wisiał w pobliżu głównego wejścia. Wyglądałoby lepiej, gdybyśmy go powiesili gdzieś wysoko, ale okap dachu naszego domu był bardzo niski i wyżej nie było dobrego miejsca na jego umieszczenie. W rezultacie był zawieszony na wysokości wzrostu dziecka. Prawdę mówiąc kilkoro dzieci z sąsiedztwa go zdjęło, bawiło się nim i nawet złamało na dwa kawałki. Ze względu na jego historyczne znaczenie, nie mogliśmy go tak po prostu wyrzucić. Połączyliśmy obie części drutem i przybiliśmy mocniej na froncie domu. Może dlatego, że nasz znak został potraktowany z takim brakiem szacunku, kościół był również poniżany w trudny do opisanego sposób.

Okap był tak niski, że ludzie musieli schylać głowy, żeby wejść do środka. Izba miała około ośmiu stop kwadratowych i było tak ciasno, że kiedy modliło się w niej naraz sześć osób, zderzaliśmy się wzajemnie czołami. Ludzie z sąsiedztwa wyśmiewali naszą nazwę. Kpili z nas, pytając, o jakim to zjednoczeniu świata marzymy w tym malutkim domku, do którego „można wejść tylko na czworakach”. Nie próbowali się domyślać, dlaczego właśnie taką nazwę wybraliśmy. Uważali nas po prostu za szaleńców.

To nas jednak nie martwiło. W Busan zebraliśmy, żeby zdobyć pożywienie, a teraz mieliśmy izbę, w której urządzaliśmy nabożeństwa. Nie obawialiśmy się niczego. Zrobiłem sobie nawet garnitur w taki sposób, że wzięłem mundur armii amerykańskiej i ufarbowałem go na czarno. Nosilem do niego czarne gumowe buty. Nawet jeżeli inni próbowali nas poniżyć, my mieliśmy w sercach więcej godności niż ktokolwiek.

Ci, którzy przychodzili do nas, nazywali siebie nawzajem *shikku*, czyli członkami tej samej rodziny. Wszyscy byliśmy jakby upojeni miłością. Każdy, kto przychodził, mógł widzieć, co robię i słyszeć, co mówię. Byliśmy ze sobą związani niewidzialnymi więzami miłości, która pomagała nam komunikować się z Bogiem. Zdarzało się, że jakaś kobieta w domu szykowała ryż, nagle wypadła na ulicę i biegła do naszego kościoła. Ktoś inny mógłby powiedzieć, że właśnie miała się przebrać w nową suknię, kiedy nagle wybiegła i przysła do kościoła w starej i dziurawej. Jeśli teściowie kobiety ogolili jej głowę, aby powstrzymać ją od przyścia do nas, przychodziła z ogoloną głową.

W miarę jak liczba członków naszego kościoła wzrastała, zaczęliśmy prowadzić ewangelizację na kampusach uniwersyteckich. W latach pięćdziesiątych w społeczeństwie koreańskim studenci uniwersytetu cieszyli się dużym szacunkiem jako intelektualiści. Zaczęliśmy pracę w pobliżu wejścia do Żeńskiego Uniwersytetu Ewha i Uniwersytetu Yonsei. Wkrótce znaczna liczba studentów spędzała czas w naszym kościele.

Przychodzili do nas: profesor Yoon Young Yang, która w Ewha uczyła muzyki i profesor Choong Hwa Han, opiekun domów akademickich. Przychodziło też wielu studentów, ale nie tak po jednym czy po dwóch; przybywali tuzinami; ich liczba wzrastała w postępie geometrycznym. To było zaskakujące nie tylko dla innych, uznanych kościołów, ale i dla nas.

W ciągu dwóch miesięcy od rozpoczęcia pracy ewangelizacyjnej na kampusie nasza kongregacja gwałtownie się powiększyła; przede wszystkim o studentki i studentów z Ewha i Yonsei. Wzrastała w niewiarygodnym tempie. Było tak, jakby powiał wiosenny wiatr, przeniknął i zmienił w ciągu jednej chwili serca tych młodych ludzi. Dziesiątki studentek z Ewha spakowało rzeczy i wyprowadziło się z domu akademickiego — wszystkie tego samego dnia. Kiedy ktoś próbował je powstrzymać, mówiły: „Dlaczego? Czemu próbujesz mnie zatrzymać? Jeżeli chciałbyś mnie zatrzymać, musiałbyś mnie zabić. Zabić!” Wykradały się, wspinając na mur otaczający akademik. Ja sam starałem się je pohamować, ale na próżno. Nie chciały pozostać w swojej czystej, ślicznej szkole; chciały być w naszym malutkim kościele, w którym śmierdziało brudnymi nogami. Nikt nie mógł zmienić decyzji tych dziewcząt.

Ostatecznie dziekan Hwal Ran Kim (Helen Kim) posłała do naszego kościoła profesor Young Oon Kim z Wydziału Religijnej Opieki Społecznej. Profesor Kim studiowała teologię w Kanadzie i była teologiem, z którym uniwersytet Ewha wiązał wielkie nadzieje na przyszłość. Dziekan Kim wybrała właśnie profesor Kim, gdyż jej specjalnością była teologia; zakładała, że pani profesor uda się dokonać ostatecznej krytyki naszej teologii i tym samym zahamować napływ studentów. Jednak w tydzień po spotkaniu ze mną owa specjalna przedstawicielka, pani profesor Kim, przyłączyła się do naszego kościoła i stała się jedną z jego najbardziej zapalonych członkiń. To przydało nam jeszcze więcej wiarygodności wśród innych profesorów i studentów w Ewha. Liczba członków naszej kongregacji powiększała się teraz jak śniegowa kula.

Sytuacja wymykała się spod kontroli; inne uznane kościoły wznowiły pretensje, oskarżając nas o wykradanie im wiernych. Uznałem to za nieetyczne. Nigdy nikomu nie kazałem słuchać moich kazań ani uczęszczać na nabożeństwa. Kiedy odganiałem ludzi od frontowego wejścia, wchodzili tylnym. Jeśli zamykałem drzwi, wdrapywali się na ogrodzenie. Nie byłem w stanie im przeszkodzić. Najbardziej zakłopotane tą sytuacją były władze administracyjne obu uniwersytetów: Yonsei i Ewha, dotowane z kolei przez rozmaite fundacje chrześcijańskie. Nie mogły przecież stać bezczynnie, skoro ich studenci i wykładowcy tłumnie przyłączali się do innej grupy religijnej.

Dwa uniwersytety wyrzucają swoich studentów i profesorów

Obydwa uniwersytety, Yonsei i Ewha, zaczęły przeżywać kryzys i w końcu podjęły kroki, jakich nie stosowały nigdy dotychczas i nigdy potem. Uniwersytet Ewha wydzielił pięciu profesorów, w tym panią profesor Young Oon Kim, oraz wyrzucił ze studiów czternaście studentek. Z tego pięć było na ostatnim roku. Uniwersytet Yonsei zwolnił jednego profesora i wyrzucił dwóch studentów.

Kapelan uniwersytetu Ewha radził studentkom: „Możecie przecież chodzić do tamtego kościoła po ukończeniu studiów. W ten sposób uczelnia nie poniesie szkody.” To nic nie dało. Skutek był nawet wprost przeciwny.

Wyrzuceni studenci gwałtownie protestowali, mówiąc: „W naszej uczelni jest wielu ateistów. Uczą się u nas nawet dzieci tradycyjnych szamanów. Jak szkoła może uzasadnić fakt, że nas wyrzuca? Jak wyjaśni hipokryzję tak nierównego traktowania?”

Uczelnia jednak obstawała twardo przy swoim. Powtórzyła swoje stanowisko: „Jesteśmy uczelnią prywatną i chrześcijańską. Mamy prawo wyrzucić każdego studenta, jakiego zechcemy”.

Kiedy do wydarzeń włączyły się media, jedna z gazet zamieściła artykuł zatytułowany: „Wyrzucanie ze studiów jest niedopuszczalne w kraju, w którym panuje wolność religijna”. Wkrótce ta sprawa stała się tematem dyskusji publicznej.

Administracja Ewha, uczelni dotowanej przez pewną fundację chrześcijańską w Kanadzie, zdawała sobie sprawę, że ta dotacja może się skończyć, jeżeli będzie mówiło się głośno, że duża ilość studentek uczęszcza do kościoła, uważanego za heretycki. W tamtych czasach uniwersytet Ewha organizował nabożeństwa trzy razy w tygodniu, notowano ilu studentów uczestniczy w każdym nabożeństwie i liczby te przesyłano do głównego biura misji.

Po tym, kiedy zwolniono profesorów i wyrzucono studentów, opinia publiczna zaczynała stawać po naszej stronie. Ewha, starając się temu przeciwstawić, rozpętała kampanię oszczerczych plotek, zbyt paskudnych, żeby je tu powtarzać. Niestety, jak to często bywa — im paskudniejsza plotka, tym chętniej ludzie w nią wierzą i powtarzają jako prawdę. Te fałszywe pogłoski dodawały sobie wzajemnie sił i wkrótce zaczęły żyć własnym życiem. Nasz kościół bardzo cierpiał z ich powodu przez ponad rok.

Nie chciałem, żeby problem wymknął się spod kontroli. Nie chciałem w ogóle stwarzać problemów. Próbowałem przekonać studentów i profesorów, by wiedli proste i spokojne, pełne wiary życie. Tłumaczyłem, że wcale nie muszą opuszczać domów akademickich, ani powodować tyle publicznego zamieszania. Ale oni byli nieugięci. „Dlaczego mówisz, że mamy tu nie przychodzić?” — pytali. — „Pragniemy otrzymać taką samą łaskę jak inni”. W końcu musieli opuścić swoje uczelnie. Nie czułem się dobrze z tą świadomością.

Kiedy już ich wyrzucono, studenci przyszli całą grupą do sali modlitw na górze Samgak na przedmieściach Seulu. Przyszli szukać ukojenia dla swoich zranionych serc. Wyrzucono ich z uczelni, rodziny miały do nich pretensje, przyjaciele nie chcieli ich więcej znać. Nie mieli dokąd się udać. Pościli i całe godziny spędzali, modląc się tak żarliwie, że oczy i nosy napełniały im się łzami. Wkrótce niektórzy z nich zaczęli mówić różnymi językami. To prawda, że Bóg objawia się nam, kiedy jesteśmy na skraju rozpacz i desperacji. Ci studenci, których relegowano z uczelni, których wyparli się rodzina i przyjaciele, znaleźli Boga w modlitwie na górze Samgak.

Poszedłem tam, rozdawałem żywność i pocieszałem tych studentów, którzy byli już wycieńczeni postem.

„I tak jest dostatecznie źle, że was niesprawiedliwie wyrzucono!” — tłumaczyłem. — „Proszę, już dosyć tych postów. Jeżeli uważacie, że postąpiliście słusznie, to nie jest żadną hańbą, jeśli ktoś was z tego powodu obraża. Nie traćcie odwagi, ale czekajcie, aż nadejdzie wasz czas”.

Pięć studentek ostatniego roku przeniosło się później na uniwersytet dla kobiet w Sookmyung. Ale szkoda była nieodwracalna.

To wydarzenie odegrało decydującą rolę i stało się punktem zwrotnym dla mojej niezwykle negatywnej reputacji. Gazety zaczęły pisać o nas tak, jakby wszystkie złe uczynki popełnione przez rozmaite religie były też naszymi uczynkami. Ludzie, którzy początkowo reagowali na plotki pytaniem „Czy to może być prawda?”, teraz zaczęli mówić „To jest prawda”.

To bolało — być przedmiotem takiego niesprawiedliwego traktowania. Niesprawiedliwość była tak dotkliwa, że poczułem gniew. Chciałem ten swój żal wykrzyczeć, ale nic nie mówiłem ani nie próbowałem walczyć. Mieliśmy za dużo do zrobienia; nie było czasu, by go tracić na walkę.

Uważałem, że te nieporozumienia i nienawiść z czasem znikną i że nie powinniśmy marnować energii na zbyteknie przejmowanie się nimi. Udawałem, że nie słyszę, kiedy ludzie mówili: „Ten Sun Myung Moon powinien zostać rażony piorunem”, albo gdy pastory chrześcijańscy modlili się o moją śmierć.

Tymczasem, zamiast zamierać, plotki z każdym dniem stawały się coraz bardziej oburzające. Wydawało się, że cały świat wytyka mnie oskarżycielsko palcami. Przecież nawet w skwarze panującym w fabryce nawozów w Heungnam nie pozwalałem nikomu oglądać moich gołych tydek; tymczasem teraz plotkowano, że tańczę nago w swoim kościele. Wkrótce ludzie, którzy po raz pierwszy przychodzili do naszego kościoła, przypatrywali mi się wzrokiem, który mówił: „Więc to ty jesteś tym, który rozbiera się i tańczy?”

Wiedziałem lepiej niż ktokolwiek, że trzeba czasu, by takie plotki ustały, zatem nigdy nawet nie próbowałem z nimi polemizować, mówiąc „Nie, nie jestem taki”. Nie znamy człowieka, dopóki się z nim nie spotkamy; niemniej było bardzo wielu ludzi, którzy nie znając mnie zupełnie, nie wahali się mnie przeklinać. Wiedziałem, że walka z takimi ludźmi nie ma sensu, zatem zaciskałem zęby i milczałem.

Z powodu wydarzeń na uniwersytetach Yonsei i Ewha nasz kościół znalazł się na krawędzi unicestwienia. Wyobrażenia o „pseudo-religii” czy „kulcie” wiązano nieodmiennie z moją osobą, a wszystkie uznane kościoły wspólnie wystąpiły do rządu z oskarżeniami przeciwko mnie.

4 lipca 1955 roku policja przyszła do naszego kościoła; zabrała do aresztu mnie i czworo innych członków: Won Pil Kima, Hyo Young Eu, Hyo Min Eu i Hyo Won Eu. Pastorowie i starsi członkowie uznanych kościołów wspólnie z władzami świeckimi pisali listy, w których żądali zamknięcia naszego kościoła. Ta czwórka, która była razem ze mną od początku, również teraz poszła wraz ze mną do więzienia.

Sprawa się na tym nie zakończyła. Policja zbadała moją przeszłość i oskarżyła o uchylanie się od służby wojskowej. Ale to również było niestychane. Wtedy, kiedy uciekłem z obozu śmierci w Korei Północnej, by pójść na południe, miałem już za sobą wiek poborowy. Niemniej zarzucono mi, że się od niej uchylałem.

Na uschniętych gałęziach wyrastają nowe pączki

Detektywi z Sekcji Specjalnej Wywiadu Biura Porządku Publicznego, którzy przyszli do naszego kościoła i aresztowali mnie, zaprowadzili mnie do komisariatu policji Chung Bu. Oskarżenie o uchylanie się od służby wojskowej mnie oburzyło, ale nie powiedziałem ani słowa. Może bym coś powiedział, ale nie dano mi szansy zabrania głosu.

Niektórzy ludzie, widząc jak milczę wobec niesprawiedliwego traktowania, nazywali mnie człowiekiem „bez kręgosłupa”. I to także znosiłem w milczeniu, uważając, że ta ścieżka została mi nadana. Jeżeli taką drogą muszę iść, aby osiągnąć mój cel, to nie mam na to wpływu. Ponieważ

dążyłem prosto do celu, nie mogłem zostać pokonany. Im bardziej mnie atakowano, tym bardziej honorowo starałem się postępować, bardziej niż ktokolwiek.

Skoro już powziąłem w sercu taką decyzję, policja nie miała nade mną żadnej władzy. Gdy detektyw pisał raport, sam mu dyktowałem, co ma napisać.

„Dlaczego nie włącza pan tutaj takiej treści?” — pytałem go. — „A tutaj powinien pan to napisać w ten sposób...” Robił to, co mu mówiłem. Każde podyktowane przeze mnie zdanie było właściwe, ale kiedy detektyw zestawiał wszystko razem, zauważył, że to, co napisał, prowadzi do wniosków dokładnie przeciwnych niż konkluzja, do jakiej on chciał doprowadzić. Rozzłościł się i podał raport.

13 lipca 1955 roku, szóstego dnia od aresztowania mnie i osadzenia w areszcie policji w Chung Bu, zostałem przewieziony do Więzienia Seodaemun w Seulu. Spętano mnie, ale ani mnie to nie zawstydziło, ani nie zmartwiło. Życie w więzieniu nie stanowiło dla mnie przeszkody. Mogło wywołać wielki gniew w sercu, ale nigdy nie było przeszkodą na mojej drodze. Dla mnie to nawet był sposób na gromadzenie dodatkowego kapitału dla przyszłych działań. Życie więzienne opanowałem, powtarzając sobie: „Nie jestem osobą, która umiera w więzieniu. Nie mogę umrzeć. To dla mnie tylko trampolina do wielkiego skoku w stronę świata wolności”.

Istnieje zasada na świecie a prawo w niebie, że to, co złe, musi upaść, zaś to, co dobre — rozkwita. Nawet jeśli muszę wejść w stertę gnoju, nic mi się nie stanie, jeżeli tylko zachowam czyste serce. Kiedy tak prowadzono mnie związanego, minęło nas kilka kobiet; spojrzały na mnie podejrzliwie i z dezaprobatą odwróciły głowy. Dosłownie promieniowało z nich uczucie, że nawet mój wygląd jest groteskowy, bo wierzyły, że jestem przywódcą kultu seksu. Ale ja ani się nie bałem, ani nie wstydziłem. Nawet jeśli by obrzucono mój kościół i mnie ohydными słowami, nie zachwiałyby to mną.

Oczywiście przeżywałem to wszystko. Na zewnątrz zachowywałem godność, ale wielokrotnie bywało tak, że się czułem stłamszony i rozżalony do szpiku kości. Za każdym razem, kiedy czułem, że moje serce słabnie, mówiłem sobie twardo: „Nie jestem kimś, kto po prostu umiera w więzieniu. Podniosę się znowu. Jestem tego pewien”. Swoją determinację podwajałem, mówiąc: „Cały ból biorę na siebie. Biorę na siebie całe brzemie naszego kościoła”.

Ktoś mógłby się spodziewać, że uwięzienie mnie oznaczało koniec istnienia naszego kościoła, że teraz wszyscy nasi członkowie rozejdą się w różne strony. Tymczasem codziennie przychodzili mnie odwiedzać. Czasami nawet walczyli między sobą o to, który z nich odwiedzi mnie pierwszy. Widzenia były dozwolone dopiero od ósmej rano, ale członkowie naszego kościoła ustawiali się w kolejce i czekali przed więzieniem już od wczesnego ranka. Im bardziej ludzie mnie lżyli, im bardziej mnie separowano od otoczenia, tym więcej ludzi czekało w kolejce na widzenie ze mną, dodawało mi odwagi, płakało nade mną.

Właściwie nawet nie bardzo wylewnie im dziękowałem. Zdarzało się nawet, że ich odtrącałem, mówiąc coś takiego: „Po co przychodzicie i robicie takie zamieszanie?” Ale i tak szli za mną, roniąc łzy. W ten sposób wyrażali swoją wiarę i miłość. Nie dlatego się do mnie przywiązali, że potrafiłem mówić płynnie czy elokwentnie. Lubili mnie, bo wiedzieli, że w sercu mam wiele miłości. Członkowie naszego kościoła znali prawdę o moim sercu. Nawet gdybym miał umrzeć, nigdy nie

zapomnę ludzi, którzy szli wtedy za mną, kiedy musiałem stać związany przed sądem. Zawsze będę pamiętał wyraz ich twarzy, kiedy szlochali, widząc mnie na ławie oskarżonych.

Strażnicy więzienni byli zdumieni. „Co ten człowiek robi, że ludzie tak za nim szaleją?” — zastanawiali się na widok naszych członków, tłumnie wędrujących do więzienia. — „On nie jest ich mężem, ani one nie są jego żonami. Nie jest ich synem. Dlaczego są mu tak oddani?”

Pewnego razu jeden ze strażników stwierdził: „Słyszeliśmy, że Moon był dyktatorem i wykorzystywał ludzi, ale teraz jasno widzę, że to nieprawda”. Ten strażnik stał się później wiernym członkiem naszego kościoła.

W końcu, po trzech miesiącach niewoli, sąd mnie uznał za niewinnego i zwolnił z więzienia. W dniu mojego wyjścia na wolność naczelnik więzienia i wszyscy kierownicy sekcji uroczyście mnie pożegnali. W ciągu następnych trzech miesięcy wszyscy stali się częścią naszej Rodziny Zjednoczeniowej. Przyczyna, dla której ich serca zwróciły się do mnie, była bardzo prosta. Skoro tylko mnie bliżej poznali, zorientowali się, że bynajmniej nie jestem osobą przedstawianą w plotkach, które zasłyszeli. Wyszło na to, że fałszywe pogłoski krążące w społeczeństwie tak właściwie wspomogły nasze działania ewangelizacyjne.

Kiedy zabierała mnie policja, wszystkie media i społeczeństwo robili z tego ogromną aferę. Ale kiedy mnie uznano za niewinnego i wypuszczono, milczeli. Jediną informacją na temat tego wyroku i zwolnienia była wzmianka na trzy linijki w nierzucającym się w oczy zakamarku gazety następującej treści: „Wielebny Moon niewinny, wypuszczony”. Paskudne plotki, które wywołały takie poruszenie w całym kraju, okazały się w całości fałszywe, ale ta informacja została kompletnie ukryta. Nasi członkowie protestowali, mówiąc: „Wielebny Moonie, to niesprawiedliwe. To nas tak gniewa, że aż trudno to znieść”. Płakali przede mną, a ja tylko ich uspokajałem i nic nie mówiłem.

Nigdy nie zapomniałem, jaki ból przeżyłem dręczony i poddany tym wszystkim fałszywym oskarżeniom. Wytrzymałem to wszystko, nawet wtedy, gdy tylu ludzi było przeciw mnie i odnosiłem wrażenie, iż w całej Korei nie pozostał dla mnie żaden skrawek ziemi. Żal, jaki od tego czasu czułem, pozostał we mnie; ukryłem go gdzieś w zakątku serca.

Mógłbym być drzewem szarpanym przez wiatr i deszcz oraz palonym ogniem, ale nigdy nie będę drzewem, które się spali i zginie. Nawet uschnięta gałąź na wiosnę wypuści nowe pączki. Jeżeli stale będę szedł wytyczoną ścieżką z pokorą i silnym przekonaniem, z pewnością nadejdzie dzień, kiedy świat zrozumie wartość tego, co robię.

Nasze rany nas kształtują

Ludzie odrzucali głoszony przeze mnie nowy sposób wyrażania prawdy, nazywając go herezją. Jezus, urodzony w kraju judaizmu, został podobnie oskarżony o herezję i za to ukrzyżowany. Jeżeli mamy się uciec do porównań, prześladowania, jakich doznałem, nie były nawet w przybliżeniu tak bolesne czy niesprawiedliwe. Byłem w stanie wytrzymać nawet największy ból fizyczny. Ale oskarżenie mojego kościoła o herezję, było dla mnie o wiele trudniejsze i niezwykle krzywdzące.

Teologowie, którzy studiowali historię początków naszego kościoła, uznali nasze nauki za oryginalne i systematyczne. Niektórzy z nich gotowi byli je zaakceptować. To znaczy, że dyskusja

o herezji naszego kościoła była podsycana czymś więcej niż tylko teologicznym sporem. Raczej chodziło o kwestię władzy.

Większość naszych członków, zanim się przyłączyła do nas, chodziła do innych kościołów. To był główny powód, dla którego uznane kościoły potraktowały nas jak wrogów. Kiedy pani profesor Yoon Young Yang, jedna z wykładowczyń na uniwersytecie Ewha, przyłączyła się do nas, policja zabrała ją do komisariatu na przesłuchanie. Tam okazało się, że około osiemdziesięciu duchownych chrześcijańskich napisało listy do władz, krytykując nasz kościół. Nie chodziło o to, że robimy coś złego. Postrzegano nas jako zagrożenie dla władzy pewnych ludzi i instytucji.

To strach i skrajne zamykanie się w swoich wyznaniach napędzał ich wysiłki, żeby zgnieść nasz kościół.

Nasz kościół i głoszona przez nas nowa nauka przyciągały ludzi z wielu grup religijnych. Bywało, że mówiłem do naszych członków: „Dlaczego tu przyszliście? Wracajcie do swoich kościołów!” Niemal im groziłem, próbując oddalić od siebie. Ale bardzo prędko wracali. Ludzie, którzy tłumnie przybywali, żeby mnie zobaczyć, nie chcieli już słuchać nikogo innego. Ani nauczycieli, ani rodziców. Chcieli słyszeć mnie, kiedy mówiłem. Nie płaciłem im ani ich nie karmiłem, a jednak wierzyli w to, co głosiłem i stale napływali do mnie.

Przyczyną było to, że otwierałem im drogę do rozwiązania wewnętrznej sprzeczności. Zanim poznałem prawdę, doznawałem podobnych uczuć. Odczuwałem je, kiedy patrzyłem w niebo, a także kiedy obserwowałem otaczających mnie ludzi. Dlatego właśnie byłem w stanie zrozumieć uczucia tych, którzy przychodzili do naszego kościoła. Zadawali pytania, na które nie potrafili znaleźć odpowiedzi. Przekazywane przeze mnie Słowo Boże dawało im na te pytania jasne odpowiedzi. Młodzi ludzie, którym udało się mnie spotkać, odnajdywali odpowiedzi na te pytania w moich słowach. Pragnęli przychodzić do naszego kościoła i przyłączyć się do mnie, udać się razem ze mną w duchową podróż bez względu na to, jak bardzo będzie trudna.

Jestem osobą, która odnajduje drogę i otwiera ją. Prowadzę po niej ludzi, aby leczyć rozbite rodziny, odbudowywać społeczeństwo, naród i świat, tak byśmy w końcu mogli powrócić do Boga. Ci, którzy do mnie przychodzą, rozumieją to. Pragną iść wraz ze mną na poszukiwanie Boga. Jak można się w tym doszukiwać jakiegokolwiek zła? Wszystko, co robiliśmy, było poszukiwaniem Boga, i z tej przyczyny poddano nas wszelkiego rodzaju prześladowaniom i krytyce.

Na nieszczęście, kiedy wokół naszego kościoła kłębiło się tyle kontrowersji i dyskusji o herezji, moja żona sprawiła, że sprawy stały się dla mnie jeszcze trudniejsze. Po naszym spotkaniu w Busan zarówno ona, jak i jej krewni, zaczęli się ode mnie domagać, żebym albo natychmiast porzucił swój kościół i rozpoczął życie z nią i naszym synem, albo żebym się z nią rozwiódł. Nawet wtedy, kiedy siedziałem w więzieniu Seodaemun, przyszli tam i przynieśli mi papiery rozwodowe z żądaniem, żebym je podpisał. Wiem, jak wielką rolę odgrywa małżeństwo w pracy nad ustanowieniem Bożego świata pokoju, zatem zniósłem te żądania w milczeniu.

Poza tym moja żona zachowywała się okropnie w stosunku do członków naszego kościoła. Ja sam byłem w stanie znieść jej pretensje. Nie przejmowałem się obelgami ani nieprzyjemnym traktowaniem mnie, ale nie mogłem spokojnie patrzeć, jak się zachowywała wobec naszych członków. Wpadała jak burza do naszego kościoła o każdej porze, aby wymyślać ludziom, niszczyć

mienie kościelne, albo zabierać należące do kościoła rzeczy. Potrafiła nawet wylewać wodę z ekskrementami na zgromadzonych w kościele ludzi. Kiedy się pojawiała, nie sposób było godnie się pomodlić. W końcu, gdy tylko wyszedłem z więzienia Seodaemun, zgodziłem się na żądania jej rodziny i podpisałem papiery rozwodowe. Zostałem zmuszony do rozwodu wbrew moim własnym zasadom.

Teraz, kiedy myślę o swojej byłej żonie, serce moje garnie się do niej. W tamtych czasach na jej zachowanie złożyły się zarówno wpływ jej rodziny, bardzo związanej z religią chrześcijańską, jak i przywódcy uznanych kościołów w Korei. Była przecież tak zdecydowana i stanowcza w swoim zaangażowaniu przed naszym ślubem. Sposób, w jaki się zmieniła, uczy nas, jak bardzo powinniśmy się obawiać potęgi uprzedzeń społecznych i utartych pojęć.

Doznałem zarówno cierpień z powodu rozwodu, jak i bólu z napiętnowania mnie mianem heretyka. Nie ugiąłem się jednak. Przez to wszystko musiałem przejść w mojej drodze do odkupienia grzechu pierworodnego ludzkości, musiałem to wytrzymać, by posunąć się do przodu na drodze do Królestwa Bożego. Najciemniej jest tuż przed świtaniem. Pokonałem tę ciemność, trzymając się kurczowo Boga i modląc się do Niego. Oprócz krótkich chwil, jakie spędzałem na spaniu, cały pozostały czas poświęcałem modlitwie.

Najważniejsza jest szczerość serca

Pokazałem się ponownie światu po trzech miesiącach, gdy uznano mnie za niewinnego. Bardziej niż kiedykolwiek zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że mam ogromny dług wdzięczności wobec Boga. Aby ten dług spłacić, szukałem miejsca, w którym nasz kościół mógłby znowu zacząć wszystko od początku. Nie modliłem się jednak „Boże, zbuduj nam kościół”. Nigdy nie narzekałem ani się nie wstydziłem tego, że używany wtedy przez nas budynek kościelny jest skromny i mały. Byłem wdzięczny, że mamy miejsce do modlitwy. Nigdy nie życzyłem sobie żadnych wielkich czy wspaniałych przestrzeni.

Niemniej musieliśmy mieć jakieś miejsce, w którym nasi członkowie mogliby się gromadzić i odprawiać nabożeństwa; zaciągnęliśmy zatem pożyczkę w wysokości dwóch milionów wonów i kupiliśmy, będący w bardzo złym stanie, dom położony na zboczu wzgórza w dzielnicy Cheongpa-Dong. Był to jeden z wielu domów kategorii „własność wroga”, co znaczy, że stał pusty od chwili, kiedy wyprowadzili się z niego Japończycy, którzy opuścili Koreę, gdy nasza ojczyzna została wyzwolona. Był to mały domek o powierzchni sześćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych mierzonych po podłodze. Mieścił się na końcu długiej i wąskiej uliczki. Kiedy dochodziło się do tego domu, szło się jakby długim, ciemnym tunelem. Wszystkie ściany i filary były tak gęsto pokryte brudem, że zastanawialiśmy się, co się tam działo przed naszym przybyciem. Pracowałem z młodzieżą z naszego kościoła przez cztery dni, żeby z pomocą ługu zeszkrobać cały ten brud.

Po przeprowadzce do kościoła w Cheongpa-Dong prawie nie spałem. Siadywałem na kolanach na podłodze głównej sypialni pogrążony w modlitwie do trzeciej – czwartej nad ranem. Drzemałem potem gdzieś do piątej, po czym wstawałem i zabierałem się do codziennych działań. Taki styl życia wiodłem przez siedem lat. Mimo, że spałem w ciągu doby najwyżej jedną – dwie godziny, nigdy za dnia nie byłem śpiący. Oczy mi lśniły jak gwiazdy poranne. W ogóle nie czułem zmęczenia.

Mój umysł był tak pełen myśli o tym, co trzeba zrobić, że szkoda mi było czasu nawet na jedzenie. Zamiast zabierać czas innym na podanie dla mnie do stołu, jadałem, siedząc z miseczką na podłodze. „Okaz swoje oddanie! Okaz je, nawet, jeżeli chce ci się spać! Okazuj je tak długo, aż się poczujesz wyczerpany!” — powtarzałem sobie ciągle. Modliłem się w samym środku ciągłych przeciwności i fałszywych oskarżeń z poczuciem, że sieję ziarna, które pewnego dnia wydadzą bogaty plon. Jeżeli tego plonu nie zbiorę w Korei, byłem przekonany, że nastąpi to w jakimś innym miejscu na świecie.

W rok po zwolnieniu mnie z więzienia nasz kościół liczył czterystu członków. Modląc się, wymieniałem po kolei ich imiona. Zaś zanim je wymieniłem, oczami duszy widziałem ich twarze. Niektóre płaczące, inne z uśmiechem. Podczas modlitwy byłem w stanie powiedzieć, co każdy z nich robi, a nawet na jaką chorobę się uskarża.

Czasami, kiedy modląc się wymieniałem ich imiona, miałem nieodparte wrażenie, że konkretna osoba dzisiaj przyjdzie do kościoła. I ta osoba zawsze przychodziła. Kiedy zwracałem się do kogoś, kto podczas mojej modlitwy wydał mi się chory, i pytałem go: „Jesteś chory?”, ta osoba zawsze mi to potwierdzała. Moi wierni byli zaskoczeni, że to wiem, chociaż nikt mi o tym nie mówił. Pytali: „Jak ty to robisz?” Odpowiadałem im po prostu uśmiechem.

Coś podobnego zdarzyło się podczas przygotowań do Ceremonii Świętego Błogosławieństwa. Przed ceremonią pytałem każdego kandydata i kandydatkę do małżeństwa, czy zachowali czystość. Kiedy spytałem o to jednego z nich, odpowiedział głośno, że pozostał czysty. Spytałem go o to jeszcze raz i powtórnie potwierdził. Spytałem po raz trzeci i otrzymałem tę samą odpowiedź. Spojrzałem mu prosto w oczy i rzekłem: „Odbywałeś służbę wojskową w Hwacheon w prowincji Kangwon, prawda?” Tym razem odpowiedział „tak” wyraźnie wystraszonym głosem.

„Dostałeś przepustkę na kilka dni i w drodze do Seulu zatrzymałeś się w zajeździe, prawda? I tamtej nocy dopuściłeś się nierządu z kobietą w czerwonej spódnicy. Wiem dokładnie, co robiłeś. Dlaczego kłamiesz?”

Zdenerwowałem się na tego człowieka i wyrzuciłem go z sali, gdzie udzielałem Błogosławieństwa. Jeżeli człowiek ma otwarte oczy serca, może zobaczyć nawet to, co ukryte.

Niektórych do naszego kościoła przyciągały bardziej te zjawiska paranormalne niż moje nauki. Ludzie bardzo często uważają, że moce duchowe są czymś najważniejszym. Jednak zjawiska, często zwane cudami, zwykle wprowadzają ludziom zamieszanie. Wiara oparta na niewyjaśnionych albo cudownych wydarzeniach nie jest zdrowa. Każdy grzech musi być odkupiony. Nie można tego dokonać w oparciu o moce duchowe. Kiedy nasz kościół zaczął dojrzewać, przestałem mówić naszym członkom o rzeczach, które widziałem oczami serca.

Osób było coraz więcej. Nieważne czy mówiłem do tuzina ludzi czy do setek, postępowałem tak samo, jakbym mówił tylko do jednej osoby. Kiedy ktoś chciał mi opowiedzieć o swojej sytuacji osobistej, zawsze go wysłuchiwałem. Nieważne czy była to stara kobieta czy młody mężczyzna. Słuchałem z oddaniem, tak jakby to była jedyna osoba, z jaką mam do czynienia. Każdy z członków mógłby powiedzieć: „Nikt w Korei nie słucha tego, co chcę mu opowiedzieć, tak uważnie jak wielebny Moon”. Niejedna babcia zaczynała opowieść od tego, jak wychodziła za mąż, żeby mi w końcu powiedzieć o chorobach swojego męża.

Uwielbiam słuchać, jak ludzie opowiadają o sobie. Kiedy się przede mną otwierają i mówią o swoim życiu, tracę po prostu poczucie czasu. Mogę ich słuchać dziesięć, a nawet dwadzieścia godzin! Ludzie, którzy chcą opowiadać, mają poczucie, że ich sprawa nie cierpi zwłoki. Oczekują jak najszybszego rozwiązania swoich problemów. Uważam więc, że powiniennem ich słuchać z pełnym oddaniem. W ten sposób okazuję miłość ich życiu i spłacam dług, jaki zaciągnąłem swoim własnym życiem. To bardzo ważne, żeby traktować życie jak prawdziwy skarb. Tak samo szczerze jak wysłuchiwałem tego, co mi mieli do powiedzenia inni, ja też z zapałem dzieliłem się z nimi ze szczerym sercem i modliłem się za nich ze łzami.

Jakże często modląc się, płakałem przez całą noc! Podłoga dookoła mnie była mokra od moich łez i nie mogła wyschnąć.

Później, kiedy już mieszkałem w Stanach Zjednoczonych, pewnego dnia otrzymałem wiadomość, że członkowie kościoła w Cheongpa-Dong planują wprowadzenie zmian w budynku. Od razu wysłałem telegram, żeby natychmiast przerwali prace nad przebudową kościoła. Tak, ten kościół ucieleśnia pewien niepowtarzalny okres w historii mojego życia, ale — co o wiele ważniejsze — jest bezpośrednim świadectwem historii naszego kościoła. Nie ma znaczenia, jak cudownie mógłby wyglądać po renowacji, jaki byłby z tego pożytek, gdyby w ten sposób zniszczono naszą historię? Nie ważny jest piękny wygląd, ale tajemne życie pełne łez, która jest zawarte w tym budynku. Ten budynek może nie być na odpowiednio wysokim poziomie, ale ucieleśnia tradycję i w tym leży jego wartość. Ci, którzy nie szanują tradycji, skazani są na niepowodzenie.

Na filarach kościoła w Cheongpa-Dong wyryta jest historia. Kiedy patrzę na któryś z nich, przypominam sobie czasy, kiedy oparty o ten filar płakałem nad jakąś sprawą. I kiedy teraz na niego patrzę, płaczę znowu. Widok trochę wypaczonej framugi drzwi przypomina mi przeszłość. Teraz jednak nie ma już starych desek w podłodze. Nie ma desek, na których klęczałem, modląc się i wylewając tyle łez; śladów moich łez także już nie ma. Wspomnienia tamtego bólu są mi potrzebne. Nieważne, że styl budowlany czy wygląd są stare. Minęło wiele czasu i teraz mamy już tyle pięknie zbudowanych kościołów! Ale co do mnie, wolałbym pójść pomodlić się do małego kościółka na wzgórzu w Cheongpa-Dong. Czuję się tam o wiele lepiej.

Całe moje życie modliłem się i wygłaszałem kazania, ale nawet teraz drzę, kiedy stoję naprzeciw grupy ludzi. To dlatego, że przemawianie o sprawach publicznych może oznaczać zbawienie wielu istnień ludzkich, albo utratę wielu z nich. Najważniejszą dla mnie sprawą jest to, że mogę wprowadzić ludzi, którzy mnie słuchają, na ścieżkę życia. Są to te chwile, kiedy wytyczam wyraźną linię na granicy pomiędzy życiem a śmiercią.

Nawet teraz nie przygotowuję z góry swoich kazań. Jestem zdania, że robiąc to, mógłbym pozwolić moim prywatnym celom wkraść się w ich treść. Przy takich przygotowaniach mógłbym wykazać, jak wielką wiedzę zgromadziłem w głowie, ale nie przekazałbym słuchaczom szczerego i pełnego żarliwości serca. Zanim się pojawię przed ludźmi, zawsze spędzam co najmniej dziesięć godzin na modlitwie. W ten sposób osadzam głęboko swoje korzenie. Nawet jeżeli liście na potężnym drzewie są trochę nadgryzione przez owady, drzewo pozostaje zdrowe, o ile ma głębokie korzenie. Czasami moje słowa mogą być nieco niezręczne, ale wszystko będzie w porządku, dopóki jest w nich szczerze serce.

We wczesnym okresie istnienia naszego kościoła nosiłem wojskową kurtkę i mundur amerykańskiej armii ufarbowany na czarno i głosiłem kazania tak żarliwie, że cały byłem oblany potem i łzami. Nie było dnia, żebym głośno nie szlochał. Serce było pełne wzruszeń, a łzy płynęły mi z oczu i ciekły strugami po twarzy. Były to czasy, kiedy mój duch omal nie wyrwał się z ciała. Miałem wrażenie, że jestem na krawędzi śmierci. Ubranie miałem mokre od potu, krople potu spływały mi też z czoła.

W czasach pracy w kościele w Cheongpa-Dong każdy z nas przeszedł przez trudny okres, ale szczególnie ciężko było Hyo Won Eu. Poważnie chorował na płuca i choć to było dla niego bardzo trudne, przez trzy lata i osiem miesięcy przez osiemnaście godzin na dobę dawał wykłady nauk naszego kościoła. Nie stać nas było na porządne jedzenie. Jedliśmy jęczmień zamiast ryżu, i to tylko dwa razy na dobę. Jedynym dodatkowym daniem było surowe *kimchi*, zostawiane do sfermentowania tylko na jedną noc.

Hyo Won Eu uwielbiał małe solone krewetki. Stawiał pojemnik z tymi krewetkami w rogu pokoju, od czasu do czasu podchodził tam z pałeczkami w rękę i zjadał kilka sztuk. W ten sposób przetrwał tamte trudne dni. Serce mnie bolało, kiedy widziałem, jak Hyo Won Eu leży wyczerpany na podłodze, głodny i zmęczony. Chciałem mu dać solonego maża, ale w owych czasach ta potrawa była dla nas o wiele za droga. Do tej pory boli mnie serce, kiedy pomyślę, jak ciężko pracował, starając się zapisać moje płynące jak wodospad słowa, nawet kiedy był chory.

Wspierany ciężką pracą i poświęceniem członków nasz kościół stale się rozrastał. Powstało Stowarzyszenie Uczniów Sunghwa, które skupiało uczniów szkół średnich. Postanowili oni przynosić i oddawać nam drugie śniadania przygotowywane dla nich przez matki, aby nasi pionierscy misjonarze mogli coś zjeść. Uczniowie z własnej inicjatywy sporządzili listę, zgodnie z którą kolejno jakaś grupa oddawała swoje posiłki. Misjonarze, którzy spożywali te posiłki, wiedzieli, że uczniowie poświęcają własne jedzenie i będą głodni; zatem jedli, ale ze łzami w oczach. Taki wyraz oddania ze strony uczniów robił większe wrażenie niż sam posiłek, więc wszyscy zdwoiliśmy wysiłki, by spełnić wolę Boga, nawet gdybyśmy mieli za to oddać życie.

Choć czasy były ciężkie, wysyłałiśmy misjonarzy do wielu miejsc w kraju. Mimo skromnych pragnień, kaskada ohydnych plotek powodowała, że było im trudno otwarcie się przyznawać, że należą do Kościoła Zjednoczeniowego. Szli do pobliskich dzielnic, sprząтали ulice i pomagali w gospodarstwie. Wieczorami uczyli niepiśmiennych oraz głosili ludziom Słowo Boże. Tak służyli innym przez kilka miesięcy, budując atmosferę zaufania. W rezultacie nasz kościół rósł. Nigdy nie zapomniałem tych, którzy, mimo że bardzo chcieli kontynuować naukę, w zamian pozostali ze mną i poświęcili się pracy dla kościoła.